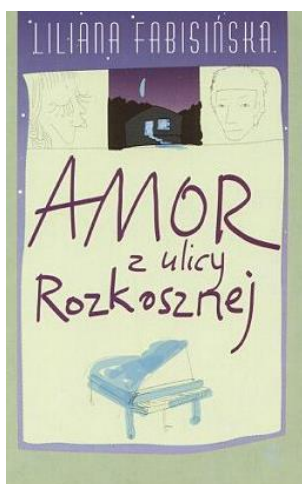




Mam na imię Amor. Brzmi jak kiepski dowcip, ale to szczerą prawdą. Tak dali mi na imię rodzice. Do dziś są zachwyceni swoim pomysłem, uważają, że to najlepsze, co im w życiu przyszło do głowy. Matka lekarka, ojciec doktor chemii... Ona ratuje ludziom życie, on odkrył w laboratorium nowy wirus wywołujący żółtaczkę... ale to się nie liczy.

– Najbardziej dumni jesteśmy z naszego Amorka – powtarzają rozanieleni. I puszczają do siebie oko. No bo jestem dzieckiem wielkiej miłości i powinienem być wzruszony, że tak mnie nazwali.

– A jak miałbym na imię, gdybym był dziewczynką? – zapytałem kiedyś.

– Gubałówka – oświadczyli zgodnie, nie zastanawiając się ani minuty. – W Zakopanem wzięliśmy ślub, spędziliśmy miesiąc miodowy, potem jeździliśmy tam na każdą sobotę i niedzielę... Jak mógłbyś się nazywać, jeśli nie Gubałówka?

No tak... To już chyba wolę być chłopcem. I niemal jestem im wdzięczny, że nazwali mnie Amor.

Mógłbym przecież nazywać się Giewont. Albo Butorowy Wierch. Albo Murowaniec. Rodzice przecież zawsze pili herbatę i jedli bigos w Murowańcu, widziałem zdjęcia. Tak, Amor chyba nie jest najgorszym imieniem. Całkiem miło brzmi w połączeniu z moim nazwiskiem: Amor Korzonek. Wcale nieźle, prawda? Już trochę się przyzwyczaiłem, noszę to imię od prawie dziesięciu lat. Jeszcze z dziesięć i może je polubię?

Nie wiem tylko, czy polubią je moi nowi sąsiedzi.

O ile tam w ogóle będą jacyś sąsiedzi. Rodzice kupili dom, za tydzień się przeprowadzamy. Jeszcze go nie widziałem. Jest w Maślankach, „całkiem blisko Warszawy”. Tak mówi mama. A tata zapewnia mnie, że „w ogóle nie poczuje różnicy”. Nie poczuje! Moja szkoła będzie trzydzieści kilometrów od tego nowego domu. Tata obiecał, że będzie mnie codziennie woził, żebym nie musiał rozstawać się z kolegami, ale słyszałem, jak we wtorek wieczorem mama, myśląc, że już śpię, powiedziała: „Za miesiąc sam się zmęczy tymi dojazdami i będzie prosił, żeby go przenieść do szkoły bliżej domu. Taka wiejska szkoła to może być całkiem fajna rzecz”. Fajna! Wiejska szkoła! Akurat! Jaka mnie po niej czeka przyszłość? Przecież nasza wychowawczyni, pani Woźniak, ciągle powtarza, że musimy już teraz walczyć o wysoką średnią i udzielać się w kółkach zainteresowań, żeby dostać się do najlepszego gimnazjum, potem liceum – a w końcu na studia. Pokazywała nam statystyki. Dzieci z naszej szkoły nie mają kłopotów z egzaminami wstępnymi, świetnie znają języki, no i dostają dodatkowe punkty za kółko malarskie i informatyczne. A tam, na tej wsi, pewnie nawet nie wiedzą, co to jest komputer.

– Mamo, a czy w tym domu jest telefon? – zapytałem wczoraj.

Spojrzała na mnie, jakbym zapytał, czy w ścianie nie zamurowano przypadkiem jakiejś mumii, i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, Amorku, ja w ogóle nie widziałam tego domu – powiedziała i zasłoniła twarz grubą księgą o stosowaniu ziół w leczeniu chorób płuc.

– Jak to: nie widziałaś? – krzyknąłem przerażony.

– No, wiesz, tylko na zdjęciach – odparła z roztargnieniem. – Cena była taka niska, to było aż nieprawdopodobne, nie zastanawialiśmy się ani chwili. Nigdy nie myślałam, że będzie nas stać na dom z dużym ogrodem. A tymczasem ta cena... Niesamowita okazja! Sprzedamy to mieszkanie, zapłacimy za dom i jeszcze kupimy nowe meble. Widziałeś kiedyś taki tani dom? Trzeba było się decydować natychmiast. My byśmy pojechali oglądać, a w tym czasie ktoś by go kupił. Nie, nie można było ryzykować. A poza tym to będzie takie miłe, wejść tam po raz pierwszy i od razu zamieszkać. Taka niespodzianka, przygoda. Nie czujesz tego?

– Ale mamo, przecież tam może stać jakaś rudera, tam może być puste pole, oni cię mogli oszukać! Czy ty nie oglądasz telewizji? Ludzie tylko czekają, aż się trafi ktoś taki jak ty! Nikt nie sprzedaje tak tanio domów! Mamo...

Poczułem, że brakuje mi słów. Moi rodzice są tacy łatwowierni. Najchętniej zamieszkaliby gdzieś pod Giewontem i paśli owce. Nie wiem, jakim cudem udało im się skończyć studia i znaleźć pracę. Zdarzało się im już gubić wózek, w którym spałem, raz spalili całą kuchnię, zostawiając włączony piekarnik, tata złamał nogę, bo się zagapił w gwiazdy i nie patrzył w dół, mama co tydzień musi stać na poboczu i błagać kogoś, żeby jej pomógł, bo zabrakło jej benzyny. No, ale zakup domu, którego się nawet nie widziało, to już chyba lekka przesada!

– Jak mogliście kupić dom, nie oglądając go? – zaatakowałem tatę, gdy tylko wszedł do domu.

– Synku, nie denerwuj się, przecież widzieliśmy go na zdjęciach. – On też nie dostrzegał problemu. – A poza tym, nie wiesz jeszcze najlepszego. Gdy dowiesz się, przy jakiej ulicy stoi ten dom, będziesz zachwycony. Od razu wiedzieliśmy, że był nam pisany, przeznaczony.

– Zwłaszcza tobie, kochanie, zwłaszcza tobie – rozpromieniła się mama, odkładając książkę na półkę, obok jej ulubionej encyklopedii ziół.

– Ulica Zakopiańska? – usiłowałem odgadnąć, dziękując jednocześnie w myślach niebiosom, że uchroniły mnie przed imieniem Giewont.

– Zakopiańska to byłaby dla mnie i dla taty, a nie dla ciebie. – Mama odrzuciła do tyłu kosmyk ciemnych, kręconych włosów, które zawsze wchodziły jej do ust i oczu. – A dla ciebie synku... No, zgadnij.

– Boję się – szepnąłem.

Ale mama nie usłyszała. Radość rozsadzała ją od środka, nie mogła już dłużej czekać.

– Rozkoszna, synku! – zawołała rozpromieniona. – Pomyśl tylko: Amor z ulicy Rozkosznej. Czy to nie brzmi słodko?

Całą noc leżałem w łóżku i wpatrywałem się w ciemności w sufit. Oczywiście niewiele było na nim widać. Tylko cienie zza okna i kontur okrągłej lampy, którą podarowała mi babcia. Tak bardzo za nią zatęskniłem. Jest taka normalna, zwyczajna, spokojna. Robi pierogi, zupę pieczarkową, w jej domu zawsze pachnie pastą do podłogi i kompotem, który gotuje z malin i truskawek. Ona nigdy nie nazwałaby mnie Amor. Podobno bardzo się zezłościła na mamę, kiedy usłyszała, że tak mi dała na imię. Chciała

nawet złożyć jakąś skargę, bo – jak twierdziła – urzędnik nie powinien pozwolić moim rodzicom na coś takiego. Szkoda, że nie złożyła. I szkoda, że mieszka tak daleko... Aż za Rzeszowem. Widuję ją dwa razy w roku, czasami nawet rzadziej. Och, jak ja bym chciał, żeby z nami mieszkała. Na pewno nie dopuściłaby do tego, żeby rodzice kupili dom, którego nie widzieli. I kazałaby mamie zająć się chirurgią albo okulistyką, a nie ziołami. Babcia na pewno nie wie, że mama postanowiła się specjalizować w medycynie naturalnej. Jak jakaś zielarka, a nie prawdziwy lekarz z porządnym dyplomem!

Liliana Fabisińska, *Amor z ulicy Rozkosznej*, Warszawa 2005